

„INNE SPOJRZENIE”

POWSTANIE BIELAŃSKIE I KAMPINOWSKIE

Widziane oczyma Żaczka i Krzaczka

Zaczął się od przeszkolenia wychowanków „Naszego Domu” podzielonych na dwie grupy. Starszych pod komendą wychowawcy por. Zdzisława Sieradzkiego i najmłodszych szkolonych przez chorążego Henryka Borkowskiego.

Szkolenie rozpoczęło się od złożenia przysięgi, że będziemy walczyć do ostatniej kropli krwi i że nie doniesiemy do gestapo, jakie niebezpieczeństwo od nas grozi III Rzeszy Niemieckiej.

Kije od szczotek służyły do ćwiczeń walki na bagnety, a te same kije z gwoździem do ustalenia trójkąta błędów przy strzelaniu z karabinu KB.

Moja grupa, Maciek Kisielnicki, Michał Domański, Marian Koczyk, jeszcze kilku, których nie pamiętam miała pełnić funkcję łączników.

Każdy miał przydzielony odcinek trasy na Żoliborzu, przez który będzie przekazywał rozkazy i meldunki. Trzeba było dokładnie zapoznać się z tym odcinkiem. Ważny był każdy szczegół. Ile okienek piwnicznych ma każdy blok, które były okratowane, a które miały szybę zbrojoną.

W dniu wybuchu powstania starsza grupa została przeniesiona na Żoliborz, a młodsza do rezerwy, bo podchorążemu Borkowskiemu żal było takich dzieciaków przeszkolonych kijem skazać na karę śmierci.

Po okresie konspiracji, kiedy Niemcy dowiedzieli się, że wybuchło powstanie na ulicach zniknęły patrole żandarmerii, a pojawiły się grupy cywilów maszerujących gęśią w różnych kierunkach z biało-czerwonymi opaskami na rękawach.

Rysiek Próchnik jako nie zrzeszony w ramach konspiracji dołączył do tych oddziałów żeby pomścić z racji swojego pochodzenia holokaust.

Po zapadnięciu zmroku kompanie i bataliony uzbrojone w giwery, (co dziesiąty) o średnicy 8 mm i „sidolówki” (puszki po proszku na robactwo lub do mycia naczyń wypełnione prochem, których skuteczność sprowadzała się do osmolonych i trochę poszarpanych spodni) otoczyły ogrodzoną i obwarowaną przez Niemców Akademię Wychowania Fizycznego.

Oddziały cierpliwie wyczekiwały, kiedy Niemcy na widok tych giwerów i opasek opuszczą placówkę z białą flagą i „hande hohami”.

Ryśka odesłali do domu, bo włożył mundur z białego lnianego płótna, który ułatwiał Niemcom zlokalizowanie czającego się wroga. Wrócił zadowolony, bo znalazł Filipinkę porzuconą przez cofające się zawiedzione szturmowe oddziały, które nie doczekały się kapitulacji załogi AWF-u.

Z podobnym skutkiem próbowano zdobyć bielańskie lotnisko. W innych dzielnicach Warszawy rozpoczęła się krwawa i bohaterska walka okupiona setkami tysięcy ofiar i całkowitym zniszczeniem stolicy.

Wolne pomieszczenia „Naszego Domu” (pod sypialnią dziewcząt) zostały przystosowane do szpitala powstańczego.

W pierwszych dniach bielańskie oddziały wypoczywały po bohaterskim ataku na AWF i panował całkowity spokój. Rannych zaczęli donosić w czasie próby przebicia się oddziałów kampinoskich na pomoc Warszawie.

Przez okna można było obserwować jak na otwartych polach bielańskich (po wycięciu na opał lasku bielańskiego) buszowały czołgi, wyszukując ukrywające się za pagórkami grupki oddziałów leśnych.

Gdy się trochę uspokoiło zgłosiłem się do pomocy przy przenoszeniu rannych. Jeden patrol sanitarny w białych fartuchach z czerwonymi krzyżami został rozerwany na strzępy. Szpital szybko wypełnił się rannymi, bo Niemcy ostrzeliwali z dział czołgowych osiedle tanich domków.

Moja grupa chłopców jako najstarszych została wyznaczona do pomocy przy personelu szpitalnym.

Do naszych obowiązków należały: nocne dyżury, kopanie dołów do pochowania zmarłych i zakopywanie tych zmarłych w godzinach nocnych. Osobiście pochowałem dziesięciu. Przez pomyłkę podstawili ciężko rannego, którego uratowałem, bo jeszcze lekko oddychał.

W czasie pełnienia tej służby wydarzył się incydent, przy którym opatrność uratowała mi życie. Po opustoszałych ulicach krążyły gęsto patrole pijanych własowców, którzy rozstrzelali młodych chłopców, gwałcili kobiety i podpalali jednorodzinne domy.

W tym czasie zamiast zaryglować ciężkie wejściowe drzwi od Placu Konfederacji Pani Maryna wyznaczyła mi dyżur z Sową, (który całe powstanie przesiedział pod stołem) przy tych otwartych drzwiach, żebyśmy pod żadnym pozorem nie wpuszczali własowców.

W czasie, kiedy opuściłem placówkę za potrzebą weszło dwóch, a Sowa uciekł. Pokręcili się po kuchni, zakąsili i poszli dalej.

Pani Maryna blada z nerwów przywalała mi po ryju, że nie byłem w tym czasie na dyżurze i że nie wyprowadziłem za kołnierz z domu tych bandziorów.

Uniesiony ambicją trzasnąłem ciężkimi wrotami i zacząłem się pętać po pustych ulicach omijając patrole. Gdy próbowałem znaleźć jakieś schronienie byłem przeganiany przez mieszkańców domków, „bo oni tutaj nie chcą żadnego powstania”.

Wieczorem, żeby mnie Pani Maryna nie zauważyła wślizgnąłem się do domu.

Jak zdenerwowana sprawdzała moje łóżko czy już wróciłem, przeniosłem się na podłogę i obserwowałem często pojawiające się buty.

Tej nocy postanowiliśmy z Ryśkiem wykorzystać zdobytą filipinkę i ruszyć na odsiecz zagrożonego zgrupowania Żywiciela. Mieliśmy iść przez Powązki,

ale po kilku godzinach błądzenia znaleźliśmy się na ul. Marymonckiej, gęsto obsadzonej przez uzbrojone bronią maszynową placówki niemieckie.

Widocznie nas wymacali, bo nad głowami zaczęły przelatywać serie czerwonych pocisków.

Posiadając na spółkę taką broń (Rysiek z bojową miną trzymał puszkę, a ja zapasową nakrętkę) nie straciliśmy ducha i zaczęliśmy się czołgać w kierunku budynku straży pożarnej obsadzonej przez powstańców.

Gdy byliśmy już blisko doszliśmy do wniosku, że powstańcy potraktują nas jako atakujących Niemców, a Niemcy jako atakujących powstańców.

Z żalem rozpoczęliśmy drogę powrotną czołgając się około kilometra w kierunku „Naszego Domu”. Tam oczekiwała nas zdenerwowana Pani Maryna, ale już drugi raz po ryju nie dostałem. Usłyszeliśmy nawet wypowiedź lekarza, że wykazaliśmy odwagę graniczącą z bohaterstwem.

Oprócz służby szpitalnej byliśmy zaangażowani w godzinach nocnych do gaszenia pożarów podpalanych domów. Mieszkańcy dzielnicy porzucili cały dorobek życia. Domy opustoszały. Dzielniejsi z naszej grupy znosili cenniejsze rzeczy. Jeden szczególnie wyspecjalizował się w kolekcjonowaniu garniturów. Teraz ma najwięcej medali.

Ryśkowi nieustannie spędzała sen z powiek żądza pomsty. Ja również jak najprędzej chciałem wykorzystać umiejętności nabyte w czasie ćwiczeń walki na bagnety. Ponadto czułem się zobowiązany przysięgą. Zamiast tracić krew zwiększałem jej zasoby, bo przy szpitalu poprawiło się zaopatrzenie w żywność.

W czasie dyżurów nocnych nabawiłem się nałogu nikotynowego.

Żeby zrehabilitować wyczerpujący atak na AWF, oddziały zdobyły obsadzony przez dwóch Niemców samochód ciężarowy z dużą przyczepą z papierosami na front wschodni. Miałem tych papierosów około 0,1 m³.

W pełnym rynsztunku z torbami od masek gazowych wypchanych papierosami postanowiliśmy odwrócić azymut o 180 stopni i wyruszyliśmy do puszczy kampinoskiej.

Rysiek szukając w kieszeni lnianego munduru zapalek wyciągnął orzełka z koroną z akcji na AWF.

Zaczęliśmy się zastanawiać, czy go wyrzucić czy przemycić do puszczy. Rysiek chciał zachować, a mnie anioł podszeptął żeby wyrzucić. Znaczenie tej decyzji wyjaśni się w dalszej części opowieści.

Na obrzeżach Bielan zatrzymał nas niemiecki żandarm. Sprawdził „kenkarty”, powiedział „ja gut” i pozwolił iść dalej.

Przed wsią Laski, w której znajdował się szpital dla ociemniałych dołączyła do nas nie umówiona łączniczka domyślając się, jaki jest cel naszej wędrowki.

Więś została obstawiona przez spory patrol konny własowców.

Łączniczka natychmiast złapała się za ślepą kizkę i powiedziała żebyśmy się od niej oddalili. Dalej wlokła się sama ciągnąc za sobą nogę i głośno pojękując.

Najpierw zatrzymali nas młodzi, własowcy, namawiali żebyśmy do nich dołączyli. Powiedzieliśmy, z przyjemnością, ale jeszcze jesteśmy za młodzi i że boimy się wystrzałów.

Już wychodziliśmy ze wsi, gdy przywołał nas dowódca tego patrolu z typowo wredną ukraińską mordą.

Zaczął od zrewidowania kieszeni, w której znajdował się wyrzucony dzięki opatrności orzełek.

Po odebraniu toreb z papierosami przyczepił się do blaszanego gwizdka, który leżał na ziemi. Zgubił go wiejski chłopak, albo sam go podrzucił? Łączniczka przekazała już meldunek, że nas rozstrzelali.

Wredna mordą długo się wykrzywiała i marszczyła czoło, ale patrząc na moją mizerną posturę machnął w końcu ręką i powiedział „paszli won”.

Po ponownym nawiązaniu kontaktu z łączniczką, która była zaskoczona, że w dzień też pętają się duchy, podążyliśmy razem dalej.

W dowództwie po pobieżnym przesłuchaniu skierowano nas do wsi Truskawka na przeszkolenie.

Kapralem od musztry był sobowtór amerykańskiego sierżanta z „Cyrulika syberyjskiego”. Tylko jeszcze głośniej wrzeszczał.

Uwziął się na Ryśka, bo nie był przeszkolony przez chorążego Borkowskiego i nie wychodziło mu „w tył zwrot”.

Był również uczulony na „równaj w prawo”. Zawsze było nie równo. Biegł wzdłuż szeregu i walił łokciem po brzuchach Bogu winnych rekrutów. Bo on biegł równo. Wesoły Struś podstawił mu nogę i z nerwów odebrało mu mowę. Dzięki temu przez kilka dni mieliśmy spokój.

Oprócz musztry (oddawania honorów, ćwiczenia kroku defiladowego), zamiast nauczania posługiwania się bronią, pochodząca ze wszystkich krajów Unii Europejskiej, a nawet z pierwszej wojny światowej, odbywały się zajęcia teoretyczne.

Trzeba było wykuć na pamięć, że „język spustowy służy do zwolnienia zaczepienia” Odbywało się to w następujący sposób. Chorąży prowadzący zajęcia cytował w/w zdanie. Zaczynał od najzdolniejszego „powtórz”. Najzdolniejszy „język.....? Chorąży znowu pełny tekst, następny, „język spustowy.....? Chorąży, pełny tekst, następny „język spustowy należy.....? Jak przeleciał wszystkich to najlepszą odpowiedzią było: „język spustowy należy do zaczepienia zwolnienia”. Tylko mnie udało się powtórzyć bez pomyłki te parę słów.

W czasie szkolenia często zdarzały się potyczki, bo Ukraińcy krążyli jak sępy.

Gładko rozprawiał się z nimi porucznik „Dolina” Przyprorowadził do puszczy z okolic Wilna dwa szwadrony kawalerii w pełnym rynsztunku z 1939 r.

Gdyby on był dowódcą całego zgrupowania ocalałoby setki powstańców. Niestety z tytułu wyższej rangi dowódcą był major „Okoń” wsławiony z nieudolnych akcji.

Talent dowódczy głównie przejawiał się w połysku butów z cholewami i pilnowania 5 waliz podobnych do przywiezionych przy pierwszej wizycie Bronka do Rydzewa.

W trakcie szkolenia sukcesywnie wybierali ochotników do przeniesienia broni (pochodzącej ze rzutów) do Warszawy.

Zgłosiło się dwukrotnie więcej niż było broni. Z szeregu wybrali połowę. Nasza połowa była przeznaczona do następnej wyprawy.

Przybiegł kapral, że potrzebny jeszcze jeden. Wyrwał się Rysiek, bo dosyć miał tego sobowtóra. Doszła do mnie, wiadomość, że oddział wpadł w zasadzkę i nikt nie ocalał.

Po zakończeniu szkolenia porucznik, „Porawa” formował kompanie „Zemsta”. Po skompletowaniu pełnego składu została jeszcze spora grupa. Też miałem już dosyć tych wykładów i ochryplego od wody sodowej kaprala.

Regulaminowo wystąpiłem i zameldowałem, że chce dołączyć do kompanii. Porawa spojrział na mnie z politowaniem i włączył do grupy obsługujących konie.

Spaliśmy w stodole z tymi końmi. Gospodarzowi zabrali kobyłę, a źrebaka zostawili u gospodarza. Kobyła całą noc szalała, a nad ranem rozwaliała wrota i uciekła. Stwierdzili, że na koniucha się nie nadaje i przenieśli do pomocy w kuchni.

Jak wydawałem posiłki słyszałem uszczypliwe uwagi, że koniuchy gotują obiad i z obrzydzeniem jedli starannie i czysto ugotowaną przeze mnie zupę?

Kucharz był zdjęty z pomnika bohaterów Warszawy. Więcej Niemców nazabijał, niż w kotle było ziemniaków.

W pierwszych dniach powstania był w Warszawie. Gdy przywozili prowiant, wołał „dawać żywą świnie, a nie zabić”.

Któregoś dnia trzech Niemców na motocyklu zabłądziło i wjechali na teren naszej kompanii. Ogłosili alarm. Kucharz z opuszczonymi portkami, (bo załatwiał potrzebę- dobrze, że przed alarmem) uciekał w nie właściwym kierunku, a na mnie wrzeszczał żebym uciekał boso, bo w tym czasie wkładałem buty. Kuchnia była na wolnym powietrzu, a kotły po zrzutach ciężkiej broni.

Żeby nie obrzydzać kolegom posiłków dostałem awans na wyborowego strzelca z karabinu KB. Dzięki ćwiczeniom z kijem miałem najlepsze wyniki na strzelnicy.

Nowa służba polegała na ochronie terenu zajmowanego przez oddziały leśne. Ataki rozpoczęły się od szybkiego rozmnażania się insektów. Żeby się ich pozbyć w słoneczny dzień. rozpaliliśmy z kolegą ognisko i rozebrani do naga ugotowaliśmy w pojemniku (od zrzutów) ubrania.

Do wieczora nie zdążyły wyschnąć, więc w mokrym, cała noc pełniłem służbę na placówce. Do dziś zastanawiam, się, dlaczego w normalnych warunkach od mokrych butów można nabawić się zapalenia płuc, a tam śpiąc pod drzewami w zimne noce, głodny i bez butów nie miałem nawet lekkiego kataru.

Drugie spostrzeżenie to jak w warunkach wojennych zmienia się osobowość i wrażliwość. Na Bielanach przeprowadzali ekshumacje zwłok po działaniach wojennych. Któryś z kolegów z „Naszego Domu” zażartował, że jeden skwarek, którego znalazłem w kaszy pochodzi z tych zwłok. Mimo prawie „gettowskiego” głodu nie mogłem przełknąć tej kaszy.

W okresie szkolenia, w czasie obiadu przywieźli zwłoki kolegi z naszego plutonu, którego rozstrzelali Ukraińcy, bo wybrał się sam do Warszawy i znaleźli w kieszeni opaskę.

Można sobie wyobrazić jak wyglądał z rozłupaną czaszką po kilku dniach upalnej pogody. Z menażką w ręku z apetytem jadłem obiad i sprawdzałem, który to kolega.

Do upadku powstania panował względny spokój. Z podkradającymi się Ukraińcami dobrze sobie radziliśmy, a koncertowo rozprawiał się z nimi por. Dolina. Konno zajeżdżali od tyłu i zanim obrócili front już było po bitwie.

Nasza wojna zaczęła się po upadku powstania warszawskiego. Niemcy przerzucili wakujące jednostki pancerne (przeceniając nasze siły) do likwidacji naszego zgrupowania. Ataki „sztukasami” świadczyły o dobrym rozeznaniu zwiadowczym.

W czasie bombardowania i ostrzału z artylerii znajdowałem się w miejscu najbezpieczniejszym, bo najbliżej wroga. Wyznaczyli mi z kolega czujkę. Pociski i bomby padały daleko, żeby nie razić swoich.

Po przewertowaniu książki „Konspiracja i powstanie w Kampinosie” mogę stwierdzić, że cały czas czuwała nade mną opatrność. Nawet czułem to podświadomie, bo tylko kilka razy odczułem uczucie bliskiej śmierci, a w jednym przypadku stuprocentowej.

Gdy wróciliśmy z placówki po kwaterach pozostały zgłiszcza. Zarządzili przemarsz całego zgrupowania liczącego około 1500 ludzi i 200 wozów taboru konnego.

Przemarsz trwał pod ciągłym ostrzałem posuwających się za nami czołgów i wozów pancernych. Znowu dopisywało mi szczęście, bo znajdowałem się w środkowej części rozciągniętego na przeszło półtora kilometra taboru.

W czasie nocnego przemarszu, usłyszałem głośne „hurra”, odpierających ataki moich kolegów. Opanowała mnie taka jak Ryśka żądza zemsty, że biegnąc w tym kierunku zgubiłem rozlatujące się od dawna buty. Noce były już zimne, a dalsza moja wędrówka odbywała się boso.

W związku z tym, że byłem w kompani najmłodszy opiekował się mną bardzo dzielny i sympatyczny plutonowy. W dzień ostatniej bitwy, a właściwie pogromu, wykombinował mi jakieś lakierki.

Po dwudobowym wyczerpującym marszu rano dobrnęliśmy do wsi Budy Zosiny w pobliżu Żyrardowa i Jaktorowa.

Tu okazało się, że dowódca całego zgrupowania major Okoń bardziej nadawał się do czyszczenia butów niż, dowodzenia taką masą ludzi i taborów.

Nie będę się rozwodził, jakie popełniał błędy, jest to opisane w grubej książce pod w/w tytułem. Opiszę tylko, co się, działo w zasięgu mojego wzroku.

Zapowiadał się piękny słoneczny dzień. Rozległa wieś Budy Zosiny znajdowała się na otwartym terenie z rzadka pokrytym krzewami. Między Żyrardowem, a Jaktorowem przebiegała linia kolejowa, a za torami lasy radziejowickie.

Zamiast z marszu przejść za te tory, major Okoń zarządził odpoczynek. Nie pomogły nalegania prawie wszystkich oficerów. Nawet do księdza kapelana wyjął rewolwer i wrzasnął „milcz klecho, bo Cię zastrzelę”.

Pozostawił wszystkim decyzje wolnego wyboru. Przebrać się po cywilnemu i wydostać z kotła na własną rękę lub zostać.

Ja z kolegą zamieniłem podartą marynarkę na przyzwoity mundur. Z dużego stosu porzuconej broni jako „strzelec wyborowy” wybrałem nowego mauzera. Do tego 150 szt. naboji i dwa angielskie granaty obronne. Porządne buty też się znalazły.

Nad nami cały czas krążyły lekkie samoloty zwiadowcze i ostrzeliwały z broni pokładowej. Jednego udało się zestrzelić.

Gdy wreszcie Okoń wydał rozkaz dalszego marszu, przejście przez tory odciął pociąg pancerny. Ci, którzy nie zdążyli się cofnąć zostali zdziesiątkowani.

Mnie dalej chroniła opatrność, bo jeszcze byłem dość daleko i czułem, że wyjdę z tego cało. Miałem okazje stwierdzić, że jest jakaś wyższa siła, która kieruje ludzkim losem.

Sierżant, ojciec porucznika Porawy dziwnie się zachowywał. Widocznie przeczuwał zbliżającą się śmierć. W czasie bitwy został ciężko ranny i sam odebrał sobie życie.

Z pociągu oprócz huraganowego ostrzału z różnych kalibrów broni wyszły oddziały piechoty.

W jednej chwili z pięknego dnia zrobiło się szaro, złowrogo, jakby raptem nastąpiło całkowite zaćmienie słońca.

Położyłem się za dużym kamieniem i oczekiwałem niecierpliwie na zbliżającą się tyralierę. Gdy już byli na odległość skutecznego strzału, przybiegł łącznik z rozkazem wycofania się naszej kompanii.

W pozycji zgarbionej odwróceniem plecami biegliśmy w kierunku zbliżających się czołgów. Wpakowaliśmy się na zgrupowany ostrzał z granatników.

Znowu opatrność, bo trafiłem na lekkie zagłębienie terenu i zostałem przykryty gałęziami, ściętych odłamkami krzewów.

Kilka kroków przede mną leżał wesoly Struś. Gdy się trochę uspokoiło i ruszyliśmy dalej, Struś uniósł się lekko na rękach i na moich oczach oddał ducha.

Wieś znajdowała się na terenach podmokłych w związku, z czym była okolona głębokimi rowami melioracyjnymi. I tylko te rowy ocaliły nas od całkowitej zagłady.

Leżałem na dnie rowu z grupą ośmiu kolegów. Usłyszeliśmy warkot zbliżających się czołgów. Jediną skuteczną bronią przeciwpancerną były angielskie, „piaty”, Ale, piaty były ciężkie i jeden niósł rurę, a inny pociski. W zamieszaniu się pogubili i została tylko pusta rura.

Przygotowaliśmy do wyrzucenia granaty. Jeden kolega trzymał granat, z którego unosiła się smużka czarnego dymu. Wszyscy wrzasnęliśmy „rzucaj”, a on ze strachu upuścił go pod nogi. Granat stoczył się do wody. W tym momencie, wiedziałem, co czuje człowiek jak odchodzi z tego świata. Wszyscy liczyliśmy do 4 i 1/2. Raz, dwa, trzy, cztery, pół i.....nic. Znowu poczułem rękę opatrności.

Siedząc w rowie czołgi, okazały się bezużyteczne. Mogli nas pocałować w tą pustą rurę.

Czekaliśmy na zapadnięcie zmroku. Niedaleko paliła się drewniana chata pokryta słomą, a obok ocalała stodoła.

„Zdobyliśmy” tą stodołę, w której stał jeden koń. Gospodyni biegła wokół palącego się domu, żeby ratować dobytek, głośno lamentując. Nie pomogły przestrogi, że jak się nie schowa to już nawet pierzyna nie będzie jej potrzebna. Po chwili się uspokoiła na wieki.

Oparłem się o szczytowa ścianę przy otwartych wrotach. Zapadła wreszcie noc. Na stojąco od razu przysnąłem.

Obudził mnie warkot silnika. W odległości około 30 metrów zatrzymał się pancerny samochód z wychylonymi do połowy ss-manami. Czućnie obserwowali teren, bo dobijali rannych.

Od razu skojarzyłem, że jak się poruszę to stodoła podzieli los chałupy. Wygrałem wojnę psychologiczną, bo stałem bez ruchu około 15 minut. Na szczęście stojący za mną koń też się nie poruszył.

Gdy odjechali, z niedobitków zebrała się około 30-to osobowa grupa. Pozbieraliśmy dodatkową broń i znowu opatrność wyprowadziła nas z kotła. Na innych odcinkach trwały zażarte bitwy.

Zaczęła się mozolna wędrówka przez pola, miedze i lasy. Nie czuło się głodu, bólu spuchniętych i owrzodzonych nóg, ale wyczerpanie z braku snu.

Kiedy oddział idący gęsiego się zatrzymywał, każdy w różnych kierunkach odchyłał się od pionu. Gdy osiągnął kąt 30 stopni korygował pion i znowu przechył w drugą stronę. Sprawiało to wrażenie pijanych widziadeł.

Wiadomo, że najlepiej kopać najsłabszego, więc oprócz własnego żelastwa często dokładali mi „lekki” karabin maszynowy. W tych warunkach miało to wagę dużego worka kartofli.

Grupą dowodziło dwóch poruczników, Sęp i Orzeł, postanowili przeprowadzić oddział do Gór Świętokrzyskich.

Gdy oderwaliśmy się od wroga na bezpieczną odległość, w nocy maszerowaliśmy wytrwale na południe, a w dzień wypoczywaliśmy w stodołach u bogatszych gospodarzy.

Postawili mnie na warcie z rozkazem, żeby nikogo nie przepuszczać. Szedł właściciel tego gospodarstwa z prowiantem. Wydałem rozkaz „padnij”. Leżał tak długo, aż przyszła zmiana z sierżantem, który wydał ten kretyński rozkaz. (mógł uprzedzić, że będzie szedł gospodarz).

Po dojeździe do Pilicy koło Spały, Sęp i Orzeł stwierdzili, że w piórach rozmnożyło się robactwo, w Górach Świętokrzyskich mają dużo broni, a mało żywności. Podjęli decyzje demobilizacji.

Przy przeprawie przez rzekę koń się przewrócił i dodatkowo musiałem dźwigać kilka wiader wody, które wchłonęło wielowarstwowe ubranie. (konie wypożyczone od gospodarzy, 2-ch na koniu).

Po przekazaniu broni miejscowej organizacji AK każdy poszedł w swoją stronę. Został tylko starszy strzelec Agrykola i ja.

Zamieszkaliśmy u miejscowych gospodarzy.

Tego dnia do wsi wkroczyli Niemcy. Budowali dodatkowy boczny tor kolejowy dla wycofującego frontu wschodniego. Werbowali do pracy przy torach miejscowych rolników. Żeby nie puciekali, o piątej rano zabierali „kenkarty”. Ja swoją spaliłem i miałem na sobie wojskowe koszule.

Mieszkałem w dużej kuchni z kobietą z dzieckiem, której mąż trafił do obozu. Było ciemno. Wszedł Niemiec, chyba Ślązak, bo mówił po polsku. Zapytał czy tu jest, mężczyzna. Dzielna kobieta zataiła moją obecność. Gdyby zapalił zapałkę to, „po co ja się tak męczyłem”?

Żeby mieć spokój od tych, szkopów przenieśliśmy się do odległej zabitej deskami wsi.

Przygarnął nas bardzo szlachetny i sympatyczny gospodarz. Miał żonę podobną do koszlińskiej „chachary” i dwie córki. Jedna 17-to letnia piękna dziewczyna, a druga pełzająca na czworakach niemowlę.

Mieszkaliśmy wszyscy w jednej izbie. My w kącie na słomie, a oni w jednym łóżku. Posiłki jadło się z jednej miski, na okrągło żur i kartofle. Mała przy tych posiłkach puszczała bąki i jeszcze gorzej, a gospodyni wycierała rękawem wiecznie zasmarkany nos, albo zatykając jedną dziurkę wydmuchiwała gile na glinianą posadzkę.

Agrykola z marszu zaczął podrywać Marsię. Gospodarz krępował się, żeby nas zatrudnić do pomocy w gospodarstwie.

U poprzedniego równolegle z profesorem Politechniki Warszawskiej pasłem krowy. Z profesora cała wiocha miała uciechę, bo wykładał wyższą matematykę, a nigdy nie mógł się tych krów doliczyć.

Miejscowa organizacja przestraszyła się Niemców i w nocy przywieźli dwa wozy broni naszego oddziału.

Agrikola się upił, więc sam musiałem wtajemniczyć gospodarza, komu udzielił opieki. Zwaliliśmy tą broń w stodole. Po solidnej konserwacji została zakopana przy dużym kamieniu na polu tego gospodarza.

Wysłałem kartkę do Krakowa, gdzie się znajduję i że jeszcze żyje. Przyjechał wuj z paczką eleganckiej odzieży.

Po kąpeli w balii i zmianie ubrania wiejskie dziewczuchy złapały się za głowę. Przyszedł jakiś przybłęda, a wyjeżdża panicz.

W trakcie jazdy pociągiem do Krakowa do przedziału weszło dwóch żandarmów? Wuj siedział cały czas blady.

Gdy wysiedliśmy z pociągu natychmiast mnie zrugął, że nie schowałem się pod ławkę, a beczelnie jak „pianista w tramwaju” przyglądałem się tym szwabom.

Mimo starannej kąpeli w balii Zygmunt i Leszek prosili: „jak znajdziesz wesz to jej nie zabijaj” Byli ciekawi jak to zwierze wygląda.

W związku z brakiem dokumentów ciocia załatwiła mi prace w teatrze. Dyrektorem był mój dawny nauczyciel z 7-ej klasy podstawowej. Pamiętał mnie jako dobrego rysownika.

Objąłem stanowisko biletera.

W teatrze występował zespół satyryczno-wokalny z Warszawy. Stefcia Górka, jakiś łysy, który wyśpiewywał sprośne arie i inni, których nie pamiętam. Do kasy były długie kolejki. Nasi prominenci na usługach Niemców wciskali mi spore łapówki, żeby kupić bilety od tyłu.

Prawie codziennie oddawałem cioci więcej pieniędzy, niż wuj zarabiał miesięcznie.

W Krakowie, w którym w czasie całej wojny nie wyleciała ani jedna szyba, a mieszkańcom z okupantem żyło się w zgodnej symbiozie, powstała panika.

Do Krakowa przeniosło się trochę Warszawiaków i mogli wywołać powstanie. Wyszło zarządzenie, że jak złapią Warszawiaka, to ci, którzy ich ukrywają zostaną rozstrzelani. Nie będę opisywał, jaki blady chodził wuj i w jakich nerwach żyła ciocia.

Na pewno mocno przesadziłem, bo im do końca życia będę wdzięczny za okazaną mi pomoc. Chciałem tylko zaakcentować, jaka różnica dzieliła te dwa miasta.

Tego samego dnia, spakowałem tą elegancką odzież i przeniosłem się do Sokolnik, gdzie przebywała siostra z wysiedlonym „Naszym Domem”.

Sieroty mieszkały w budynku szkolnym. Spało się na piętrowych pryczach i jadło byle, co.

Z braku męskiego personelu funkcje wychowawcy pełnił p. Władzio.

W „Naszym Domu” był konserwatorem i palaczem, w związku, z czym nie miał predyspozycji pedagogicznych. Szybko nabawił się rozstroju nerwowego. Czystość tonu jedynej ocalonej mandoliny wypróbował na głowie najbliższego wychowanka.

Tak jak już wspominałem w warunkach wojennych, w sytuacji zagrażającej, życiu szybko zacierają się cechy odróżniające człowieka od dzikiej bestii. Najlepiej obrazuje to film „Władca Much”.

Z tytułu doświadczeń wojennych i wieku (najstarszy w grupie) powierzono mi funkcje wychowawcy.

Mając do czynienia z aktorami z w/w filmu musiałem zastosować dyscyplinę wojskową.

Trochę rozwinę ten temat, bo nie wiele brakowało, żeby podzielić los wesołego Strusia. W tym czasie przez wieś przesunął się front. Wzięci do niewoli Niemcy zostali na miejscu rozstrzelani, a wieś zajęli towarzysze.

Do sypiali wszedł Wania (członek załogi utopionego czołgu). Wania kochał dzieci. Wśród wychowanków był sierota wojenny z terenu Związku Radzieckiego, Misza, który władał biegle po rosyjsku.

W czasie, gdy Wania rozmawiał z Miszą jedno dziecko sprawdzało przydatność znalezionej piły do drewna na nodze pryczy. Zwróciłem uwagę, żeby tego nie robił. Wania zapytał Miszę „eta, kto on”, bo jak będzie na was krzyczał to go „ubijut”

Była to dla nich nie tylko największą przyjemność, ale wręcz graniczące z uzależnieniem hobby.

Misza długo, wyjaśniał, jaką pełnię funkcję, a Wania długo marszczył czoło, jak Własowiec z Lasek. Wreszcie powiedział „mac go w job”. Na pewno nie dałbym się zaprowadzić, jak żydzi do obozu zagłady, gdzie największym szczęściem była uszlachetniająca praca.

W krótkim czasie dały znać o sobie kampinoskie „Noce i Dnie” Zachorowałem na obustronne zapalenie płuc.

Gdybym miał do wyboru przyczynę zejścia z tego świata wybrałbym w/w. Nawet nie pamiętam jak długo to trwało. Leżałem w warunkach daleko odbiegających od hotelu „Forum” czy „Mariota”, a czułem się znakomicie.

Było mi ciepło, nie czułem głodu. Nawet zachowałem stoicki spokój jak wychowankowie wrzucali naboje do kaflowego pieca przy moim „miękkim tapczanie” i kule świstały nad głową. Słowem żyć nie umierać.

Dzięki troskliwej opiece siostry po kilku miesiącach wstałem z łóżka i poszedłem grać w hokeja przy użyciu kija i kawałka lodu.

Koniec balu panno Lulu, bo dalszy ciąg jest w „drodze powrotnej” sanitariuszki Mili.

